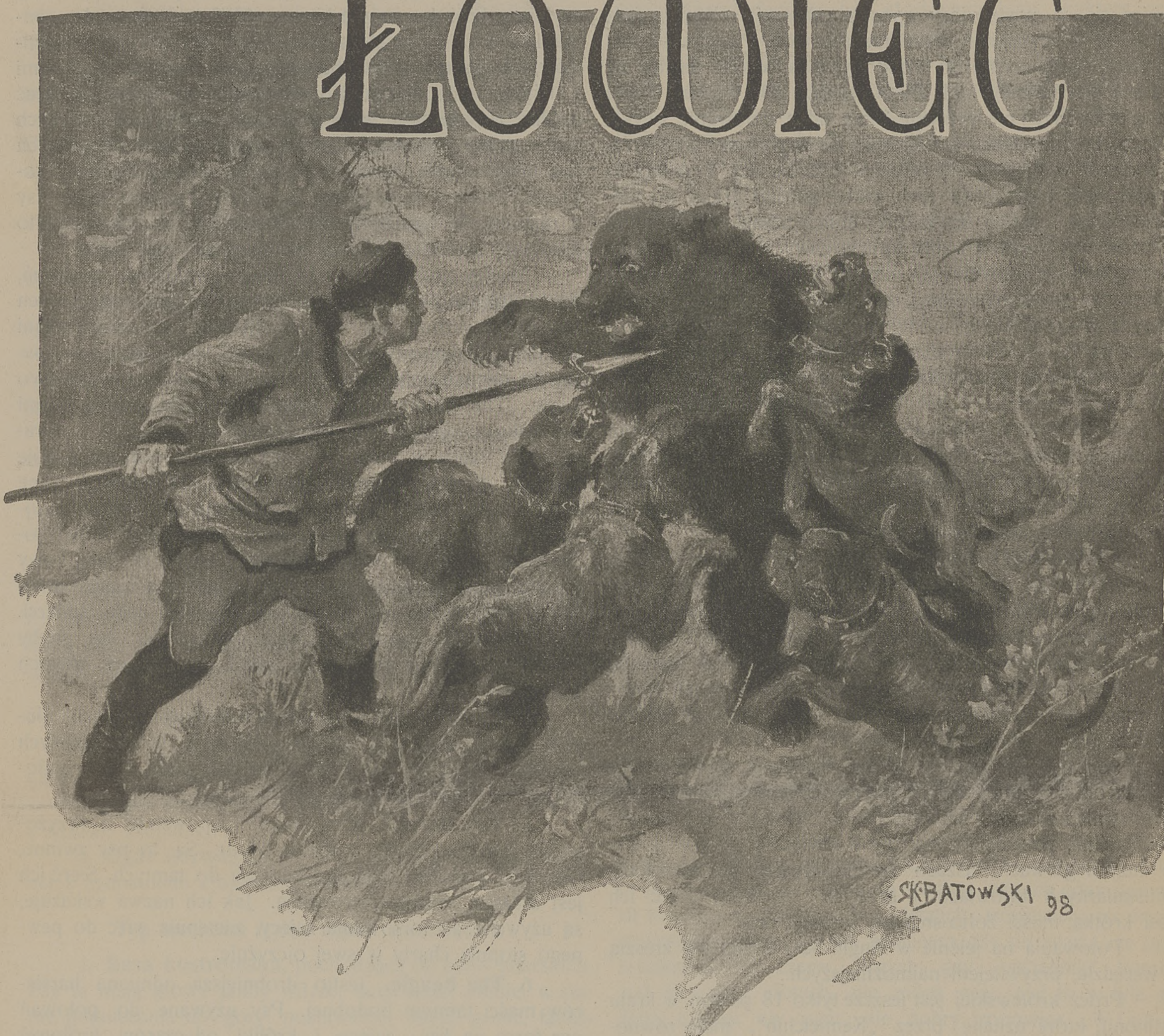
Nr. 20. Lwów, 16. października 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

PIES GOŃCZY

(OGAR)

przez **ALBERTA MNISZKA.**

(Dokończenie).

2. The Otterhound. Jakkolwiek o tych psach słyszymy w Anglii już od króla Jana, a więc od początku XIII. stulecia, to przecież pewnem jest, że one w formie dzisiejszej są produktem czasów nowszych i początek ich sięga nie dalej, jak drugiej połowy XIX. wieku. Otterhound czyli pies do polowań na wydry, jest widocznie w bliskiem z bloodhoundem pokrewieństwie i różni się od niego właściwie tylko gęstą, wełnianą, długim ostrym odstającym włosem pokrytą siercią. Wspominany już kilka razy przezemnie sławny autor — kinolog Stonehenge twierdzi, że ta rasa pochodzi od starego ogara południowo-angielskiego t. z. Southernhound'a, która przez rozmaite selekcye otrzymała ten włos długi i ostry, jaki otterhoundy dzisiaj posiadają. Oznaki rasowe tych psów, są prócz sierci i maści prawie te same, co bloodhoundów. Skóra na głowie nie wydaje się tak pofałdowaną u nich, dzięki długim włosom a wargi górnej szczęki nie są tak obwisłe. Maść ich jest czarną albo żelazno-popielatą, z zwykłymi żółtymi podpałami, które jednak się tak dobitnie, jak u innych psów, nie odznaczają. Bywają także te psy jednostajnie czerwono-żółte, lub piaskowo-popielate. Charakterystycznem jest u nich to, że sierć ich jest tłustą, co z jednej strony chroni je przed wilgocią, z drugiej, gdy pies jest źle utrzymany, prowadzi do wylenienia, tak że długie włosy wypadają i pies wygląda jakby w pilśnianej chodził sukni.

Przeznaczeniem otterhoundów są łowy na wydry, które się w następujący sposób odbywają: Wydry śpią w dzień w rozpadlinach na brzegach wód. Puszcza się tam terriera, który wydrę do wody wypędza. Wtedy rzucają się za nią otterhoundy i tak długo pływają, póki wydra z braku tchu na wierzch nie wypłynie. Trwa takie polowanie zwykle długo, bo prześladowane zwierzę, zaczerpnąwszy powietrza, napowrót w głębiny się zanurza. Interesujący i piękny to widok, gdy cała zgraja tych psów, głośno grając po wodzie pływa i wydry szuka. W końcu udaje się jednemu z psów wypływającą wydrę za kark chwycić i przy pomocy nadpływających towarzyszy udusić. Czasem i tak bywa, że przez psy gnębione zwierzę, gdy mu już w wodzie za ciasno, umyka w pole. Wtedy następuje hałaśliwa ale krótka gonitwa na lądzie i nieszczęśliwa wydra staje się prędko łupem zawziętych napastników. Dla mieszkańców nad brzegami stawów żyjących, przybycie myśliwych z psiarnią jest wypadkiem dnia i cała ludność bierze żywy udział w tem rzadkiem widowisku. Jest nadto zwyczajem, że właściciel wodnego obszaru, na którym upolowano wydrę, dostaje zwierzę od myśliwego wypchane, z srebrną obróżką na szyi, na której data łowów jest wyrytą.

3. The Staghound (der englische Hirschhund). Rasa ta dawniej rasą „Buckhoundów“ zwana, jest bardzo starą i szlachetną. Polowania na jelenie w Anglii były wyłącznym przywilejem monarchów i książąt krwi królewskiej — a używane do nich psiarnie były pod zarządem wysokiej szlachty. Dzisiaj jeszcze na dworze angielskim „Master of the Buckhounds“, jest wysokiem dworskiem dostojeństwem, piastowanem przez jednego z magnatów.

Początek tej rasy jest bardzo niepewny. Jedni wywodzą ją od wspomnianego tu już raz „Southerhounda“, inni od również znanego nam już „Talbot'a“. Są to psy bardzo rosłe, silne, posiadające mocny i dźwięczny głos w gonie, o dużych głowach, uszach średnio-długich ale szerokich, muskularnych tułowiach i grubych ogonach. Sierć ich jest krótką, maści żółto-srokatej (orange pie).

Polowania na jelenie w Anglii są i dzisiaj jak zresztą i wszędzie, przywilejem najmożniejszych.

Prócz królewskiej jest jeszcze tylko 18 psiarni w kraju Albionu, które uznane przez „Kennelclub“, mają równorzędne z tą pierwszą znaczenie i na których to łowach może i dwór uczestniczyć. Są więc te psiarnie, że tak powiemy „hoffähig“. Najsławniejszemi są z nich, księcia Somerseta i Lorda Rothschilda. Polują one w rozmaitych dniach tygodnia, które w fachowych czasopismach w rubryce p. t. „Hunting Appointments“ ogłaszane bywają.

W dzień łowów udaje się „Huntsman“ do stosownego rewiru i tam przy pomocy wyszkolonych do tego psów (Tufters) jeleń dziko żyjący (wild deer) zostaje wyszukanym i w pole wypędzonym (roused). W kwadrans po tym akcie puszcza się psiarnię na trop zwierza i łowy się zaczynają, w których uczestniczą panowie i panie na znakomitych „hunterach“. Polowanie takie, trwające czasem i 2 godziny kończy się często na tem, że jeleń zmęczony ucieka do wody i tam się kładzie. Psy wtedy od niego się odpędza i zawozi go się napowrót do rewiru, z którego pochodzi. Polowanie na jelenie „par force“ jest bez kwestyi najszlachetniejszym ze sportów, dostępnym tylko wielkim panom, sportem, w którym głównymi czynnikami są: szlachetność i dzielność konia i osobista umiejętność jazdy, odwaga i brawura.

Przez długie lata najznakomitszą jezdczynią „par force“ w Europie była ś. p. cesarzowa Elżbieta.

4. **The Foxhound.** Często tu wspominany, wielki myśliwy, król Jan angielski w r. 1213 tak pisze do constable'a w Bristolu: „Posyłamy Wam 40 naszych Foxhoundów, 12 chartów z dwoma jeźdźcami, dwoma parobkami i ośmiu dojeżdżaczami i rozkazujemy Wam polować na lisy w podległem Wam hrabstwie“. W rozmaitych innych tego rodzaju pismach późniejszych królów angielskich jest także często mowa o jucznych, niosących sieci koniach. Widzimy więc jasno, że dawniej polowano na lisy z ogarami w lasach, a wymykające się w pole, szczuto chartami. Dzisiaj poluje się na nie tylko „par force“.

Między godziną 10 a 11 przed południem w dzień, przed którego świtem zatkano wszystkie lisie nory i w ten sposób zmuszono lisy do przebywania na powierzchni ziemi, w danym terenie, zjeżdżają się konno panowie i panie na miejsce spotkania (Meeting) i tworzą towarzystwo t. zw. „The Huntingfield“. „Huntsman“ udaje się z psami do lasku, w którym się lisy zastać spodziewa a „towarzystwo“ czeka w polu. Gdy lisa ruszą i ten się w pole wynosi, słychać wołanie Huntsmana: „Tally-ho! gone away“ i głos rogu. Huntsman podkłada psy, obejmuje dowództwo, za nim dąży „the master of hounds“ i całe towarzystwo rusza w pełnym galopie przez role, łąki, rowy i płoty. Lisa umykającego daleko zwykle nie widać i mało kto z towarzystwa jest świadkiem okropnej jego śmierci. Złai foxhundów towarzyszą także terriery, by lisa, gdyby się do jakiej jamy po drodze ukrył, z niej na wierzch wypędzić.

Foxhoundy są to psy lekkie o lekkich głowach, długich szyjach, dłuższym włosem pokrytych, lekko wygiętych ogonach. Sierć ich jest krótką, lśniącą, maści czarno-biało-żółtej.

5. **The Harrier.** Rasa niedawno powstała z krzyżowania starego harriera z foxhoundem. Są to psy zwinne, nie duże, podobne maścią i budową do tamtych. Sierć ich jest dłuższą, prawie ostrowłosą. Jak ich nazwa wskazuje, są używane do forsowania zajęcy, zastępują więc do pewnego stopnia charty w swej ojczyźnie.

6. **The beagle.** Jestto drobniejsza odmiana harrierów maści tamtym podobnej. Psy używane do polowań par force na lisy, zające i króliki od czasów królowej Elżbiety. Słowo „beagle“ pochodzi od starofrancuskiego „bisgle“, łacińskiego „binoculus“ co znaczy „zezujący.“

Rasy niemieckie.

Psów gończych „par force“ niemieckiej rasy nie ma. Ogarów myśliwskich zato są cztery krótkowłose odmiany. Te jednak, jako dzisiaj nie potrzebne i tylko gdzieś w zapadłych górach używane, są na wymarciu, nie mają one zresztą żadnych cech szczególnych lub indywidualnych, szeroko więc o nich rozpisywać się nie będziemy.

1. **Die holsteinische Bracke.** Rasa psów małych, ale silnie zbudowanych, maści czarnej, podpalanej, albo czerwono-żółtej.

2. **Die Haidebracke.** Rasa hannowerska, psów nieładnych, ale nadzwyczajnie wytrwałych. Maść ich jest szaro-żółta z białą obwódką, jakby obrożą na szyi.

3. **Die Holzbracke.** Psy małe, zgrabne, maści czerwono-żółtej, z białą obwódką na szyi, białym nosem i takąż plamą na piersiach.

4. **Die Steinbracke.** Psy małe podobne do poprzednich, maści czarnej z dużymi mocno odznaczającymi się podpałami i białemi plamami na piersiach.

Rasy austryackie.

Psy gończe „par force“ nie istnieją, natomiast ogarów myśliwskich są dwie odmiany, które również jak i niemieckie staczają się w przepaść niebytu.

1. **Die glatthaarige östr. Bracke.** Psy silne, czarno-żółte, używane głównie w Tyrolu.

2. **Die rauhhaarige steierliche Hochgebirgsbracke.** Psy muskularnej budowy. Sierć ich jest ostrowłosą, maści czerwono-żółtej, na piersiach białej.

Rasy szwajcarskie.

Tylko ogary myśliwskie. Jest ich pięć krótkowłosych odmian.

1. **Schweizer Laufhund.** Pies biały z wielkimi czarnymi i żółtymi płatami.

2. **Thurgauer Laufhund,** maści żółtej z białą obróżką.

3. **Ogar luzerneński** maści tej samej, co poprzedzający, tylko większy i silniejszy.

4. **Ogar berneński,** maści zawsze trójkolorowej t. z. czarno-biało-bronzowej.

5. **Hurleurbracke.** Rasa bardzo dużych, ciężkich psów, maści ciemno-żółtej z czarnem siodłem.

Rasy włoskie.

Tylko myśliwskie, t. z. „Bracco“ albo „Segugio“. Jest ich kilka odmian jak: Segugio di Lomellina, dell' Appenino, delle Alpi, di Calabria e. c. t. Odmiany częścią krótko, częścią szorstkowłose.

Rasy skandynawskie. (Stöver).

Tylko myśliwskie, podobne zewnętrzną formą do niemieckich. Są ich dwie odmiany, mianowicie:

1. **Ogar szwedzki,** o włosie krótkim, maści czarnej z rdzawo brunatnemi odznakami.

3. **Ogar norwegski,** o włosie dłuższym, maści czarnej z brunatnemi i białemi plamami.

Typ wschodni (tylko ogary myśliwskie).

1. **Rasa kostromska,** pochodząca od psów tatarskich. Psy te mają głowy jakby wilcze, uszy małe, zwisłe, w stanie podniecenia do góry postawione, szyje grube, fałdowane na podgardlu; maści są siwoburej, na końcu ogona białej. Wiatr mają doskonały.

2. **Dawna rosyjska rasa,** wzrostu dużego o sierci gładkiej, na szyi długiej jak u wilka, maści siwej o czarnej prędze na głowie, karku i grzbiecie. Psy te strasznie złe i dzikie stają się coraz mniej używane i dni ich bytu są policzone.

3. **Arlekiny.** Rasa mało znana i dzisiaj prawie już nie istniejąca. Była to rasa bardzo oryginalna, maści tarantowatej, t. j. białej, zasianej regularnemi, czarnemi centkami.

Ciekawym psem myśliwskim, używanym w Azyi u ludów Kamczadalskich i Czukczów jest tak zwana *Łajka*, pies goniący zwierzynę nie spiewnym jak ogar głosem, ale tylko jakby ciągle szczekał, dlatego też się „łajką“ nazywa, co dosłownie znaczy szczekacz. Zewnętrzną formą przypominają te psy jużto wilka, jużto lisa. Są nadzwyczajnie cięte i odważne.

A teraz chcielibyśmy jeszcze pomówić o ogarach w Polsce. Skąd się wziął u nas ich początek, dociec dzisiaj trudno. Mamy wzmianki w starych kronikach, że nam niegdyś dostarczała ogarów Hiszpania (o starohiszpańskich ogarach nic jednak nie wiemy), później braliśmy charty i ogary od handlujących nimi Tatarów, były także w Polsce ogary kurlandzkie, prawdopodobnie identyczne z dzisiejszymi niemieckimi lub skandynawskimi. Faktem jest jednak, że z czasem utworzyła się nasza własna rasa psów gończych, będąca mieszaniną wschodnich i zachodnich typów. Były to psy rosłe i silne, po większej części gładkowłose, czarno-żółte, lub siwożółte z białą plamą na piersiach i często białą obwódką na szyi i biało zakończonym ogonie. Ze wszystkich dzielnic polskich, Ukraina psy te najdłużej utrzymała i sam niedawno jeszcze je tam widywałem. Dziś już i tam ich coraz mniej i bliską jest chwila, w której egzystencya ich należeć będzie u młodych do historyi, u starszych do wiązanki miłych, tęczowych wspomnień młodości!

Ogar, dawniej ogarz zwany, jest ściśle z historyą naszego łowiectwa związany! Stare bardzo kroniki wspominają już o tych psach u nas. Widzimy z nich, że za pierwszych Piastów były one u nas już w użyciu a za ostatniego z nich, Kazimierza Wielkiego były wydane już rozmaite nakazy t. j. ciężary utrzymywania psiarni poszczególnym gminom. Za Jagiellonów, ogar był nieodstępnym towarzyszem magnata i szlachcica. Za Władysława Jagiełły wydane zostało prawo zakazujące łowów po polach z psami począwszy od św. Wojciecha, aż do ostatecznego zbioru plonów. W XV. i XVI. wieku polowanie z ogarami było zupełnie już rozpowszechnionem. Polował król, duchowieństwo, panowie i szlachta.

W Pieskowej skale na swym zamku utrzymywał Wielopolski psiarnię złożoną z 500 sfor ogarów. Kazimierz Jagiellończyk, jak twierdzi Stryjkowski, mieszkał więcej na Litwie niż w Koronie tylko dla łowów a Marcin Bielski powiada, że biskup krakowski Paweł, był takim myśliwym, „że gdy mszę miewał, tedy psi około niego chodzili i z ptaki przed nim myśliwcy stali“. Mamy także z tej epoki wiele nazw czysto fachowych, co nas przekonywa, jak bardzo ogarami się wówczas zajmywano. I tak n. p. „naśladnik“ był to według jednych ogar goniący za innymi w tyle, według drugich tropowiec; to drugie mniemanie, zdaje się być słusznem, gdy się zważy, że ogar kosztował $4^1/_2$ czerw. złotych, gdy „naśladnik“ kosztował 10 czerw. złotych, nie mógł więc być to w tyle goniący a więc zły ogar, ale dobry tropowiec. „Wietrznym“ według Ostroroga był ogar goniący z podniesionym do góry nosem, gdy „Kopytnym“ był goniący nosem przy ziemi. „Przejemca“, pisze wyż wspomniany, jest pies, który opowiada zająca, że był tam, go przejął i zwoływa towarzystwo, aby go z nim szukali. „Popędzca“ jest pies, który umie zająca znaleźć. Ten dwojaki jest, jeden szuka rozumem, drugi pilnością. „Gońca“, jest pies wietrzny, który popędzone zwierzę goni ze wszystkiego skoku. „Wyprawca“ toż czyni co i gońca, jedno co ten wiatrem i prędzej, to on kopytem i leniwiej. „Zasadźca“ ten co się zasadza i obłów bierze myśliwemu i uciechę, bo uczy tego drugich. „Wskopeczny“ co wspak szuka i goni. „Postronny“ co ufając sobie nie rad widzi towarzystwa“.

Utrzymywanie psiarni do takich z czasem dochodziło zbytków, że król Zygmunt III., osobnym podatkiem właścicieli zbytkownych psiarni obłożył. Psy myśliwskie bywały niesłychanie cenione. Za czasów pierwszego z Jagiellonów wyszło prawo, ustanawiające za kradzież psa myśliwskiego karę 6 grzywien (dzisiejszych 18 dukatów) gdy za zabicie kmiecia w tej epoce płacił zabójca 10 grzywien kary.

Również zapalonymi myśliwymi byli Wazowie. Królewiczowi Władysławowi (późniejszemu Władysławowi IV) dedykuje Ostroróg swe sławne dzieło p. t. „Myślistwo z ogary“, temu „który w tym tak wolnym a myśliwym narodzie urodziwszy się królewskim synem, urodził się zaraz i tak myśliwym, że ledwie kto jest, ktoby się w tej mierze nad Waszą Kr. m. kochać mógł“. Późniejsi królowie z zamiłowaniem uprawiali łowiectwo a August II., był jednym z najznamienitszych myśliwych swej epoki.

Upadek łowów z ogarami a tem samem i ogarów w Polsce, datuje się od połowy XIX. wieku, a dzisiaj należą one już do niedawnej wprawdzie, ale do minionej już na zawsze przeszłości!

Odgłosy rogów i ogarów grania nie ożywią już nigdy naszych borów! Przeszłość ta pod grobową już legła płytą, na którą dzisiaj tylko suchy liść wspomnień się sypie a na której złotemi głoski wyryty widnieje napis: Staropolskie łowiectwo.

Przygoda z mysiem.

Opowiedział

STARY SONNTASGSJÄGER.

Było to w roku pańskim 1869. Skończyłem był właśnie 18-ty rok życia.

W drugiej połowie września wybraliśmy się z nieboszczykiem ojcem we dwójkę na jarząbki.

W okolicy, w której ojciec mieszkał, było ich mnóstwo. Zdarzało się nawet czasem, że jarząbek, uważając nasze ogrody owocowe za dalszy ciąg lasu, przelatując z jednego lasu do drugiego, usiadał na starych olbrzymich czereśniach, o kilkadziesiąt kroków przed domem naszym rosnących.

Mam je przed oczyma, te olbrzymy czereśniowego rodu, stojące majestatycznie na froncie pod samym parkanem w liczbie pięciu. Ileż to słodyczy dały one nam dzieciom przez lat dwadzieścia dwa. Ile cieniu w skwarne dni lipcowe. Na ich rozłożystych gałęziach, pnąc się po słodkie jagody, uczyliśmy się sztuki łażenia po drzewach, którą z czasem do wielkiej doprowadziliśmy doskonałości; były one naszym pierwszym terenem polowania. Podczas dojrzewania czereśni zlatywało się z pobliskiego lasu ptactwo najrozmaitszego gatunku: kosy, drozdy, paszkoty, dzięcioły, kwiczoły, sojki, pestkojady i inne, na które my z młodszym bratem Olesiem ze starej skałkówki lub z łuków polowaliśmy. Błogie to były czasy. Minęły i nie wrócą.

Stary ze mnie gaduła, zacząłem o jarząbkach a zeszedłem na czereśnie. Po co odgrzebywać wspomnienia z lat dziecięcych, które tylko żal wznawiają w sercu.

Nie każdy z czytelników *Łowca* miał sposobność polować na jarząbki a wielu może nawet nie widziało na wolności tej, obok głuszca i cietrzewia, najpiękniejszej ozdoby naszych Karpat. Nie od rzeczy więc będzie, że zbaczając od właściwego opowiadania, dam tu krótki opis jarząbka, jego sposobu życia, oraz polowania na niego.

Jarząbek (Tetrao bonasia, betulinus i canus, Bonasia betulina sylvestris, Haselhuhn, Rothhuhn) należy do rzędu kur, czyli grzebiących (Galinaceae, Hühner), który obejmuje: *a)* Kniejotki czyli głuszce, (Tetraonidae, Feldhühner), *b)* kury właściwe (Galinae, echte Hühner) i *c)* bażanty (Phasianidae, Fasanen). Do kniejotków należy: Kniejotek czyli głuszec właściwy (Tetrao urogalus, Auerhahn), cietrzew (Tetrao tetrix, Birk- Schild- Spielhahn) i jarząbek. Postacią podobny jest do powyższych pobratymców swoich, jest jednakowoż mniejszy od nich i ma na głowie dłuższe piórka, które czasem podnosi w kszałcie czuba. Upierzenie pstre, ceglasto czerwono-popielate z białemi łatkami i czarnemi, nierównemi liniami; pod szyją biało i bronzowo centkowany. Oko koloru orzechowego, dziób krótki i nieco zakrzywiony, czarny. Kogut różni się od kury czarną krawatką i jest nieznacznie od niej większy. Długość jarząbka wynosi w przecięciu 45 cm. Znachodzimy jarząbka na przestrzeni od Pirenejów do koła północnego i od Atlantyku do Oceanu spokojnego. Przebywa najwięcej w okolicach górzystych, w lasach mięszanych: szpilkowych i liściastych, gdzie jest dużo brzeziny, osiki, graniczących ze zrębami, porosłymi jagodami, jak maliny, ożyny i inne. Przenosi gąszcze nad rzadki las, robi jednak w jesieni dalekie wycieczki na pola i krzaki, podgórskie stoki porastające. W maju, czerwcu i lipcu przebywa w mięszanych drzewostanach, gdzie są hale i polanki, na skrajach lasu, w sierpniu posuwa się wyżej, szukając zrębów z dojrzewającemi jagodami, a gdy liść opadać zaczyna, ściąga się do szpilkowych lasów, skąd później napowrót wraca.

Jarząbek żyje w ukryciu, w gąszczach i na zboczach parowów nad strumykami, dla tego rzadko go można spotkać. Siedząc na grubej gałęzi, przylega do niej całą długością, kryjąc się w ten sposób wyśmienicie. Spłoszony zlatuje z gałęzi na ziemię i kryje się w gąszczu, gdy przeciwnie, spotkany na ziemi, wzlatuje na wysokie drzewo, w którego wierzchołku się kryje, obserwując bacznie nieprzyjaciela.

Młody jarząbek, jak długo pozostaje w stadku, wabi: „pi, pi, pi, pi“; po rozbiciu się stadka, co ma miejsce w sierpniu, „tih, tih, tih“, wyrosły zaś spiewa całą piosnkę, brzmiącą mniej więcej: „tih, tih, ti, ti, dihi“.

Jaja w liczbie 8 — 10 a czasem i więcej składa jarząbek pod krzakiem, lub kupką trawy, w zagłębieniu. Jaja są gładkie, połyskujące, na jasno brunatnem tle czerwono i ciemno bronzowo nakrapiane, 40 mm długie a 30 mm grube. Czas wylęgiwania trwa trzy tygodnie. Kura siedzi na jajach tak wytrwale, że można przyjść do niej całkiem blisko, zanim zleci. Podczas lęgu i jak długo młode są malutkie, kogut używa wolności, nie oddala się wprawdzie zbytnio od domu, lecz nie troszczy się o żonę i dzieci. Dopiero, gdy te ostatnie podrosną, wraca do rodziny i nie opuszcza jej, służąc za przewodnika i stróża.

Pożywienie jarząbka w pierwszej młodości składa się wyłącznie z owadów i chrząszczyków, później żywi się także jagodami, końcami traw, listkami kwiatów i pączkami.

Jarząbek jest nadzwyczaj ostrożnym i niedowierzającym, w czem wielce mu jest pomocnym nadzwyczaj bystry wzrok.

W niewoli prawie nigdy nie da się zupełnie oswoić.

Polujemy na jarząbki przy pomocy legawca, albo też z wabikiem, sporządzonym z kostki albo z blaszki; te ostatnie są mojem zdaniem lepsze, gdyż pozwalają nadać głosowi nieco modulacyi, jaką w spiewie jarząbka — szczególnie w pierwszym i ostatnim tonie, słyszymy. Polowanie z wabikiem jest o wiele przyjemniejsze a nawet powiedziałbym, wydatniejsze. Co do mnie, to strzał do zwabionego jarząbka sprawia mi prawie taką samą emocyę, co strzał do dzika lub lisa. Jest jednak ten sposób polowania niejako sztuką; wymaga dobrego słuchu i wzroku, wyro-

bionego zmysłu spostrzegawczego, jednem słowem, trzeba być tęgim myśliwym.

Jak u innych kur, tak też i u jarząbka objawia się w jesieni chęć walki z równemi sobie. Stan ten trwa od początku września do końca października i w tym też okresie poluje się na jarząbki z wabikiem. Myśliwy, chcący ze skutkiem polować na jarząbki z wabikiem, musi nie tylko znać ten sposób polowania, lecz także być obznajomionym z położeniem lasu, gdyż główną jest rzeczą obranie odpowiedniego stanowiska. Najlepsze stanowisko jest pod grubem, bez dolnych gałęzi drzewem, skąd można mieć widok w około na 20 do 30 kroków, gdyż jarząbek zbliża się często piechotą, korzystając z każdego krzaczka i wgłębienia, kryjącego go przed okiem wroga, wskutek czego zdarza się często, że wcześniej jarząbek spostrzeże myśliwego, niż myśliwy jarząbka. Obrawszy stanowisko, myśliwy wabi naprzód głosem młodego koguta. W pogodny i cichy czas przylatuje jarząbek natychmiast, zatrzymując się w przyzwoitem oddaleniu od miejsca, gdzie stoi myśliwy. Teraz jest chwila decydująca; każdy chociażby najnieznaczniejszy ruch może jarząbka spłoszyć, a wtedy — bądź zdrów holenderski śledziu! Należy jak najostrożniej zwrócić się w stronę, w której ptak się zatrzymał i przygotować się do strzału. Wabi się po raz drugi i wyczekuje... Jarząbek zbliża się piechotą coraz bardziej, najczęściej zbaczając to w jedną to w drugą stronę, przekrzywia główkę, zagląda i wypatruje przeciwnika. Należy go przypuścić jak najbliżej, ażeby mieć pewny strzał, gdyż postrzelony jarząbek przepadł na wieki. Trudniejsza o wiele sprawa z kogutem starym, spłoszonym już dawniej, czy to strzałem, czy też fałszywem wabieniem. Jest on daleko ostrożniejszym i więcej niedowierzającym, rzadko więc na strzał przyjdzie, będzie biegać naokoło myśliwego, aż wreszcie oddali się, żeby nie wrócić więcej. Jeżeli jarząbek wabiącemu myśliwemu się odezwie, jest to znak, że nie pragnie zawarcia z nim znajomości. W takim razie popłaca jedynie cierpliwość. Należy mianowicie wyczekać, nie ruszając się przez 5—10 minut, a ptak, u którego zwycięży w końcu ciekawość, przyleci siadając czasem pod nogi myśliwemu. Przypatruje się, widząc coś niezwykłego i podejrzanego i tę właśnie chwilkę wykorzystuje myśliwy, ażeby celnym strzałem przerwać nić jego żywota.

Zdziwisz się łaskawy czytelniku, że zapowiedziawszy opis przygody z mysiem, opowiadam ci o jarząbku. Kończę więc i wracam do przerwanego toku opowiadania.

Już naprzód cieszyłem się zapowiedzianą przez ojca wycieczką, ojciec bowiem był mistrzem w wabieniu i polowaniu na jarząbki i nie przytrafiło nam się nigdy, ażebyśmy wrócili z takiego polowania z próżnemi rękami. I mnie, jakkolwiek początkującemu udawało się wówczas czasem zwieść jakiego również początkującego jarząbka.

Wyszliśmy o wschodzie słońca, gdyż droga była daleka. Dzień zapowiadał się piękny; w porannym chłodzie posuwaliśmy się wesoło w góry lasami, prawym brzegiem rzeczki Bystrzycy. Zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu w stosownych miejscach, a ojciec wabił. Już po kilka jarząbków wisiało na trokach, gdy około godziny drugiej z południa dotarliśmy do granicy lasów mraźnickich i kropiwnickich. Zatrzymaliśmy się nad głębokim jarem, zarosłym malinami, ożynami, dzikim chmielem i innem zielskiem, które tworzyło formalne sklepienie. Ja zająłem stanowisko na jednej, ojciec na drugiej zboczy wąwozu. Po chwili ojciec zawabił i zaraz posłyszałem za sobą charakterystyczne burknięcie zlatującego jarząbka. Drugi świst i jarząbek biegiem zbliża się do mnie. Wytrzymuję, aż zbliżył się na jakie 20 kroków i strzelam; strzepnął skrzydłami i został. Podchodzę i podejmuję go, wtem widzę, jak owo sklepienie w parowie w jednym punkcie nie dalej jak 15 kroków odemnie zaczyna jakby falować, podnosić się i wydłużać w kierunku ku mnie. Nie pojmując, co to ma znaczyć, opuszczam jarząbka i chwytam strzelbę, przybierając pozycyę „gotów". Trwało to zaledwie kilka sekund, gdy z pod zielonej pokrywy wysunęła się naprzód czarna, ogromnych rozmiarów głowa a za nią ogromne, kosmate cielsko... Ciarki przeszły mi po ciele, gdyż oddalenie bestyi nie wynosiło więcej nad 10 kroków... Zerknął na mnie swojemi maleńkiemi, czarnemi oczkami i zwrócił głowę, zabierając się do odwrotu. Jak automat składam się i ...palę w czarną kupę... Po strzale oprzytomniałem i dopiero teraz z przerażeniem sobie przypomniałem, że lufy mojej strzelby próżne!... A była to pistonówka!... Drżącą ręką sięgam do torby po nabój, który wtedy przechowywano w blaszanej rurce, podzielonej na dwie połowy poprzeczne — z których jedna na proch, druga na śrót była przeznaczona, gdy wtem pada strzał w miejscu, gdzie ojciec obrał sobie stanowisko... i słyszę komendę jego: „Poszedł w dół parowem, zdaje się, że obydwa ślepia ma wybite... dobiegaj i strzelaj, ale tylko z jednej lufy, potem czekaj, aż ja dobiegnę". Skończywszy nabijanie, puszczam się na łeb na szyję zboczą parowu w dół i gonię z szybkością Moskali pod Liao - Janem. Czuję gorąco w całem ciele, pulsa na skroniach walą jak młotem... mijam gąszcz, z której niedźwiedź wylazł... i widzę ojca biegnącego przeciwnym brzegiem parowu. Zaledwie ubiegliśmy około 100 kroków, gdy ujrzeliśmy mysia, siedzącego jak pies na zadzie i potrząsającego głową, jak gdyby odpędzał od siebie muchy. Zwrócony był do nas tyłem, nie widzieliśmy zatem, czy nas spostrzegł czy nie. Oddalenie między nami a nim mogło wynosić do 80 kroków. Ojciec ruchem ręki przyzywa mię do siebie i mówi urywanym głosem: „Będziemy strzelali na przemian, ale pamiętaj, żebyś zawsze jedną lufę miał nabitą, żebyś przypadkiem przez zapomnienie nie dał i drugiego strzału, nim ja nabiję, bo w razie, gdyby nas zaatakował, bylibyśmy bezbronni. Uważaj i strzelaj z zimną krwią, bo to nie żarty". Wysłuchałem w skupieniu ducha tej admonicyi i teraz jeszcze większy strach mię ogarnął. Podsuwamy się ku zwierzowi z palcem na cynglu... czuję jak kapelusz podłazi do góry... ściskam konwulsyjnie strzelbę, nie odrywając wzroku od czarnej bestyi. Widocznie posłyszał szelest naszych kroków, gdyż nagłym ruchem zwrócił głowę w stronę ojca, nie ruszając się wcale z miejsca. Ojciec przystanął i rzucił mi krótkie: „baczność"! Zatrzymałem się również. Ojciec zrobił jeszcze parę kroków a gdy już był jakie 10 kroków od niedźwiedzia, złożył się i dał ognia. Niedźwiedź, jak gdyby go kto odrzucił, skacze w bok... wydając głuchy pomruk — składam się i daję ognia... jeszcze groźniejszy pomruk i... zwierz nie kontent z takich żartów, puszcza się w pierwotnym kierunku parowem w dół a my za nim. Nabijamy strzelby w biegu, większa część prochu wysypuje się poza lufę na ziemię, to samo dzieje się ze śrótem; o należytem przybiciu ładunku ani myśleć, gdyż niedźwiedź oddala się co raz bardziej. Dobiegamy go znowu i powtarza się poprzednia scena: strzela ojciec, strzelam ja, niedźwiedź zmyka a my za nim w szalonem tempie, po kłodach, zwałach, wywrotach, z góry na dół, to znowu z dołu do góry. Dochodzimy go znowu i dajemy po jednym strzale... i jazda na złamanie karku... Pot strumieniem leje się ze skroni, w których pulsa biją,

jak młotem, nogi poczynają odmawiać posłuszeństwa i tchu braknie. Orestes, uchodząc przed Eumenidami, byłby im z pewnością uszedł, gdyby przynajmniej o połowę biegł tak szybko, jak my. Dochodziliśmy właśnie do trzeciego rewiru, pnąc się w górę; niedźwiedź jednak wyprzedził nas znacznie i po chwilce znikł nam z oczu po przeciwnej stronie góry.

„Stój“! krzyknie ojciec, dalej nie pójdziemy, bo nam strzelby odbiorą“.

Usiadł na ziemi, gdzie stał, ja obok i zaczęliśmy oddychać, jak miechy kowalskie.

„Wiesz, gdzie jesteśmy? pyta po chwili ojciec.

„Nie mam pojęcia“ odpowiadam, „nigdy jeszcze tak daleko nie zaszedłem w tych lasach; zresztą straciłem pamięć kierunku, z którego przyszliśmy“.

„Jesteśmy na terytoryum ... i wymienił jakąś nazwę, która mi obecnie po tylu latach z pamięci wypadła.

Ojciec popatrzył na zegarek. Wskazówka stała na 4. A więc gonitwa trwała prawie dwie godziny! Byliśmy tak zmęczeni, że nie byliśmy w stanie wymówić płynnie całego zdania, lecz zaledwie urywane słowa. A wyglądaliśmy!... Ktoby nas był w tej chwili zobaczył, byłby nas wziął za zmartwychwstałych członków bandy Dobosza, który także i w tych stronach grasował. Ubranie podarte, twarze czerwone i brudne od potu a ręce niemiłosiernie podrapane.

Po dłuższym wypoczynku przypomnieliśmy sobie, że śniadanie wzięte z domu leży nieruszane w torbach.

Młodsi adepci sztuki myśliwskiej nie mają pojęcia o dawnych torbach myśliwskich. Były to w porównaniu z dzisiejszemi, miniaturowemi torebkami, kolosy. Bo też i musiały być takie przestronne w czasie panowania broni pistonowej. Były one w ten sposób urządzone, że z przodu były schowki na blaszane patrony, pod nimi miejsce na rożek z prochem i woreczek ze śrótem, oraz na kapciuch z tytoniem (dla palących fajkę) i na prowiant; z tyłu zaś była długa rozsuwalna rura skórzana, w której mieścił się cały zając!...

Wyjęliśmy tedy z torb kształtu właśnie opisanego, suchą kiełbasę z czosnkiem (inna nic nie warta), własnego domowego wyrobu, gomółkę sera z g l i w i a ł e g o, usmażonego na maśle i pudełko sardynek a łyknąwszy po dobrym hauście kminkówki również własnego wyrobu, zabraliśmy się do jedzenia z apetytem, którego chyba bliżej opisywać nie potrzebuję.

Gdy przypominam sobie dziś śniadanie dopiero opisane, przychodzi mi na myśl, że jak pod wielu innymi względami, tak i pod tym względem dawniejsze czasy lepsze były od dzisiejszych. Bo proszę państwa, dawniej człowiek mógł bez obawy łyknąć kieliszek nalewki, w naszym umiarkowanym klimacie tak dobroczynnie na organizm działającej i potrzebnej. Dziś ile razy przyjdzie człowiekowi gust na zakropienie robaka, musi ze strachem oglądać się na wszystkie strony, czyli z jakiego kąta nie podpatruje go członek Eleuteryi, by go następnie pociągnąć przed swoje forum. Żebyście jednak państwo nie myśleli, że mnie za często przychodzi gust na nalewkę, to przyznam się jak na spowiedzi, że zdarza się to dwa razy na dzień: przed obiadem i przed kolacyą. Po maleńkim kieliszeczku piję tak od lat 35 i bardzo mi ten tryb życia służy, czego najlepszym dowodem, że, jak utrzymują moi znajomi, (bo ja w mojej wrodzonej skromności nie śmiem tego twierdzić), wyglądam o 15 lat młodziej, aniżeli jest w rzeczywistości. Sam zaś pochwalić się mogę, że nie wiem, co to nerwy, niedomaganie żołądka, ból zębów, niedokrewność, wada serca, i tym podobne dzisiejsze modne choroby. A jeżeli mimo te zapewnienia kręcisz niedowierzająco głową panie eleuterzysto, obstając przy swojem twierdzeniu o bezwzględnej szkodliwości alkoholu dla ludzkiego organizmu, to chodź, wzywam cię na... nożny pojedynek,... kto dalej zajdzie w oznaczonym czasie bez zmęczenia, wygra zakład i dostanie od przeciwnika wiesz co? Butelkę pepermintu Baczewskiego... znakomita rzecz i nie droga.

A niech cię z Eleuteryą — zapomniałem, na czem przerwałem opowiadanie. Aha! Przypominam sobie. Jedliśmy tedy śniadanie, a uporawszy się szczęśliwie z zawartością naszych przepaścistych torb, wyruszyliśmy około pół do szóstej z powrotem do domu.

Niech cię Opatrzność broni od takiego spaceru, jaki myśmy wtedy odbyli. Szliśmy napowrót lasami, gdyż była to najkrótsza droga. Za dnia szliśmy jeszcze jako tako, pomimo ogromnego zmęczenia; ale po zapadnięciu nocy posuwaliśmy się literalnie noga za nogą, macając rękami przed sobą, żeby głowy o drzewo nie rozbić. Pochodu tego nie zapomnę nigdy. Dobiliśmy się do domu dopiero o 10. w nocy, w odzieniu mokrem, przesiąkniętem zimną rosą, zmęczeni do najwyższego stopnia.

Wysłani na drugi dzień pobereżnicy z psami, znaleźli niedźwiedzia dobre ćwierć mili od miejsca, w którem po raz ostatni znikł nam z oczu.

Opowiadanie to niech posłuży za przestrogę dla młodszych myśliwych, że w lasy w których można się spodziewać grubego zwierza, nawet polując na ptaki, nie powinno się puszczać bez kuli w torbie.

Gdybyśmy byli mieli wówczas chobiażby jedną kulę, bylibyśmy sobie zaoszczędzili czasu, trudu i... rozczarowania.

Pisałem w Kosowie dnia 16 września 1904.

Z obcych światów.

Z WYPRAWY POLARNEJ
OTTONA SVERDRUPA
(1898—1902)

OBRAZKI MYŚLIWSKIE.

III.

Na ziemi króla Oskara.

(Ciąg dalszy).

Popołudniu musieliśmy przebyć sankami zatokę Fjordu, kilka mil morskich szeroką. Było to przedsięwzięcie ryzykowne, gdyż lód był bardzo cienkim i co chwila grodziły nam drogę małe, zalane wodą wyżłobienia. Z przezorności, kierowaliśmy się tam, gdzie leżał zbity śnieżny namuł, więc gdzie lód musiał być najmocniejszym ale mimo to mógł być jeszcze za słabym, żeby nas na sobie utrzymać.

Szczęśliwie jednak przebyliśmy tę przykrą drogę a w chwili gdyśmy do przeciwnego dojeżdżali brzegu, ujrzeliśmy stojącego na lodowej ławicy białego niedźwiedzia, który nam się uważnie przypatrywał widocznie już od dłuższego czasu. Wiatr wiał właśnie od lądu i psy zaczęły się niepokoić; sądząc że zwierza zwietrzyły, puściłem główną linę i za chwilę leciało wszystko jak szalone!

Tym razem miałem w zaprzęgu młodego psa. Nie miał jeszcze 10 miesięcy i ciągnął pierwszy raz w swem życiu. Teraz gdy pomknął ku niedźwiedziowi, zaplątał się w sznury swoich towarzyszów, skutkiem czego został przez nie pociągnięty i zamiast biedz, sankował się grzbietem po śniegu lub koziołkował i odbijał się jak piłka od lodu. Tę pierwszą swą ekspedycyę długo zapewne ten pies pamiętać będzie!

Ależ, cóż się psom naraz stało?

Ku memu wielkiemu zdziwieniu przebiegła cała zgraja pod sam nos niedźwiedziowi i nie zaczepiwszy takowego pomknęła w górę po stromym zboczu.

Byłem tak zdziwionym a zarazem oburzonym na ten niecny psi manewr, że gdybym był mógł, podusiłbym był je wszystkie żywcem, bezsilny jednak rzuciłem znikającej za pagórkiem zgrai głośne przekleństwo!

Nie pozostawało mi nic innego do zrobienia, jak wypuścić na niedźwiedzia drugą sforę; ta była sternika. Psy wypadły zrazu na trop, ale spostrzegłszy wroga, stchórzyły i nie miały ochoty uścisków groźnego mlsia popróbować.

W tej sforze była jednak młoda suka „Kari“. Było to jej pierwsze niedźwiedzie polowanie i w swej naiwności rzuciła się wprost na zwierza. W nagrodę swej waleczności otrzymała takie pchnięcie, że na wiele metrów wyleciała w powietrze. Po upadku na lód stała się odrazu więcej pokojowo usposobioną i wziąwszy ogon pod siebie, schowała się cicho za pagórek lodowy, skąd dalszej walce się już biernie przypatrywała.

Niedźwiedź posuwał się teraz zwolna ku Fjordowi, gdy jednak do brzegu się zbliżył, zmienił nagle plan pierwotny i chciał nam uciec w stronę lądu. Wtedy sternik i ja zastąpiliśmy mu drogę.

Sternik miał sposobność pierwszy posłać zwierzowi swą kulę ale w prędkości chybił, bo niedźwiedź uciekał teraz jak szalony, a zmieniwszy w postrzale kierunek drogi, wpadł na mnie. Strzeliłem... a on otrzymawszy moją kulę, rulował w ogniu. Teraz psiska nabrały odwagi i rzuciły się jak wściekłe na leżące kudły. Zwierz drgnął kilka razy, podniósł słabo swój kudłaty łeb, chcąc jeszcze raz złapać w paszczę jednego z wrogów — ale śmierć go w tej chwili objęła, łeb upadł na lód bezwładny — już nie żył.

W czasie tej naszej walki z niedźwiedziem puścił się Fosheim za moimi psami, by je połapać. Teraz nagle w chwili, kiedy się naszej zdobyczy przypatrujemy, słyszymy za górą zajadłe szczekanie! Popatrzyliśmy się na siebie i w myśli przyznaliśmy, żeśmy nasze psy źle osądzali! Te niebyły tak głupie, umiały ocenić zwierza według jego wartości, gdyż nie było najmniejszej wątpliwości, że tam za górą z piżmowym wołem bój toczą!

Zostawiłem sternika przy naszej zdobyczy, by ją obielił i rozebrał a sam co tchu skoczyłem Fosheimowi na pomoc.

Ledwie jednak zrobiłem kilka kroków, usłyszałem strzał jeden, drugi, trzeci, czwarty i dziesiąty — słowem gęstą kanonadę. Goniłem więc co tchu, ale nim do pagórka dobiegłem, tyralierka ustała.

Stał Fosheim z karabinem w ręku, koło niego Piotr z najlepszymi psami a wkoło nich leżało martwe, świeżą krwią dymiące całe stado byków, z jedenastu sztuk złożone! A Fosheim sam jeden sprawił tę rzeź okrutną, gdyż Piotr, równie jak ja, zjawił się zapóźno!

Teraz zajęliśmy się wszyscy trzej wypatroszeniem zabitych zwierząt, gdyż rozćwiartowanie takowych odłożyliśmy do następnego dnia.

W kilka dni po tych wypadkach, wybrałem się znowu na wycieczkę. Przeszedłem góry i na ich wschodnim stoku wlazłem odrazu na drogę, która była tak w śniegu wybitą, jak gdyby nią liczne rzesze wojska przechodziły.

Zdziwiony tym widokiem zatrzymałem się na chwilę, gdy w oczy wpadło mi zdala mnóstwo białych, na rozległej przedemną płaszczyźnie znajdujących się punktów. Z początku nie wiedziałem, co o tem sądzić, wyglądało to z daleka jakby mnóstwo leżących w nieładzie kamieni.... uciekłem się do pomocy lunety i wtedy zdumiony ujrzałem wyraźnie ogromne stado zajęcy.

Chcąc to rzadkie zjawisko dokładnie zbadać, spuściłem się na dolinę i wkrótce byłem w stanie 31 sztuk tych zwierząt naliczyć. Trzydzieści z nich siedziało bez ruchu i zdawały się spać. Trzydziesty pierwszy jednak zając stał widocznie na straży stada, gdyż przypatrywał mi się siedząco z nastawionymi wysoko słuchami.

Starałem się jak najbliżej podejść pod to oryginalne towarzystwo, strażnik jednak stawał się coraz niespokojniejszym, zerwał się w końcu jak szalony, biegał wśród stada a co chwila się zatrzymując, bił tylnemi łapami w ziemię tak silnie, że aż do mych uszu odgłos ten dochodził, nakoniec począł zmykać do góry ku szczytom a za nim ruszyło całe stado. I wyglądało teraz to zdaleka, jak gdyby się jakiś biały sznur przez dolinę i zbocz ku szczytom ciągnął.

Gdy koniec tego długiego sznura z oczu mi zniknął, poszedłem w dół ku rzece. Tam trzepotała się i nurkowała jakaś samotna edredonowa kaczka. I czegoż ona tam sama jedna? Wszystkie jej towarzyszki już dawno hen pociągnęły! Był to młody ptak, nie mający widocznie siły przedsiębrać długiej na południe podróży!

Biedny ptak! Wkrótce zamarzną tu wody a wtedy śmierć przyjdzie i powoli zadając mu srogie męczarnie, utuli go w swem łonie. Nogi przymarzną do lodu, skrzydła się zważą, a te jasne, śliczne oczy zgasną powoli, jak gaśnie tu ostatni raz słońce przed długą, straszną nocą polarną! Nie ptaku! Tyś wart lepszego losu! Leć, leć, póki cię skrzydła unoszą a gdy ci je wichry połamią, ruń martwy na ziemię — bo inaczej długie cię męki czekają!

Polowanie na bawoły w dwudziestem stuleciu.

(Z angielskiego).

Wystarczyłoby to zupełnie, by Daniel Boone, Kit' Carson i inni myśliwi ubiegłych czasów, obrócili się w swych grobach!

To, co się tu działo, zaćmiło wszystkich potężnych Nemrodów w ich pojęciach łowieckich! Było tu pół tuzina specyalnych korespondentów dwudziestego wieku, i gromada anemicznych fotografów uzbrojonych w poduszeczki, ołówki i kamery, z orszakiem paziów, w koszulach i innych strojach zużytej cywilizacyi, a wszystko godziło na wielkiego, amerykańskiego bawoła, roskoszującego się w swej niczem nie zamąconej wolności.

Również strzelby w rękach myśliwych, o różnych systemach i markach nie zapowiadały nic dobrego staremu brzydkiemu poligamiście i ojcu gromady. Po stuleciach wyłącznego, nienaruszonego posiadania równin i wzgórz Wyomingu — gdzie bawoły miały ostatnie siedlisko, zaczęto je tępić przed dwudziestu laty.

Dziś bawół jest zupełnie wytępiony; pozostał jeszcze w „Yellowstone National Park“ i na wyspie antylopiej,

górzystym skrawku wśród spokojnych wód wielkiego, słonego jeziora, Utah.

Na wyspie antylopiej nie pilnują go, ani też nie dbają o jego potrzeby żołnierze wuja Sama.

Sam ma się postarać dla siebie o pożywienie, tak jak to czynili jego przodkowie i może wędrować, gdzie mu się podoba.

Może przebyć wpław drogę ku kontynentowi, lecz dotychczas nigdy nie ośmielił się narazić na tortury, które sprawia straszna, słona woda, gryząca oczy i nozdrza.

Bawoł na wyspie antylopiej jest panem wszystkiego, na co patrzy. Tu buja wraz z swymi braćmi i siostrami, kuzynami i ciotkami, w liczbie około czterdziestu sztuk.

Mieszkańcy kontynentu, małego wzrostu, o czysto utrzymanym zaroście na brodzie, z akcentem angielskim, odlegli o 20 mil od wyspy, gdzie elektryczne światła mrugają nocą w Zionie, roszczą sobie pretensye do tej gromady bawołów.

Dla bawołów jest to obojętne; nie znają one Johna H. White, ani też nie chcą znać prezydenta Roosevelta.

I w rzeczy samej, gdy w słonym powiewie wiatru poczuje odór człowieka, bawoł podnosi swój śmiesznie krótki ogon, spuszcza swój ogromny łeb i ogłupiały sadzi jak lokomotywa przez krzaki.

Nie zdziwiliśmy się zatem wcale, gdy po naszem wylądowaniu na wyspie cała gromada pierzchła po śniegu.

Najzimniejszą krew zachowali na wyspie sprawozdawcy, oni bowiem są zaprawieni do wszelkich niespodzianek; w ich codzienne zajęcie wpada spokojne weselisko, albo rozruch, zgromadzenie albo klęska w kopalniach, wyznaczenie nagrody przy golfie, lub lynchowanie, a zresztą prasa jest zawsze respektowana.

Uzbrojeni li w poduszeczki i ołówki, zajmują korzystne stanowiska, podczas gdy kamery nastawiają wściekłe soczewki, chwytające zdobycz w odległości 800 jardów.

Wreszcie trzy bawoły, dumne zabytki przeszłości, padają ofiarą zaciekłości ludzkiej.

W czasie polowania były gorące chwile. Przywileje prasy zostały strasznie nadwerężone. Jeden zraniony bawoł chciał koniecznie urządzić z interviewer'em tête a tête Nastąpiło przewracanie stołów, papier, ołówki i inne rekwizyta leciały na ziemię, tak długo — dopóki cały repertuar drastycznych wypadków, wybiegań się śmierci i innych momentów — nieodzownych przy łowach na starego bawoła, nie został wyczerpanym. To tłumienie się po wyspie trwało dobre cztery godziny. Każde zwierzę zostało zranione kilkakrotnie, nim padło i wydawszy ostatni ryk, wyzionęło ducha. Od czasu do czasu jeźdźcy zawracali stado i pędzili je na miejsce, gdzie lufy czekały. Raz trzoda rzuciła się w wodę i po pół godzinie wyszła zbryzgana na mieliznę na to, by ją zawrócono. Największy bawoł rzucił się do wąwozu, naprzeciw którego stał jeden myśliwy. Gdy się wyłonił w odległości 75 jardów, myśliwy podniósł strzelbę i wypalił. Trzykrotnie wysłał ołów ze swego Winchestera ku tej masie włosa i muszkułów, poczem dopiero zwierz padł powoli na kolana. Jeszcze jeden strzał a bawoł zerwał się i podbiegł kilka jardów, by wyorać wielką brózdę w śniegu.

Myśliwy podbiegł, by dokończyć dzieła. Tym razem zwierzę z bolesnym rykiem zachwiało się na nogach i skupiło wszystką energię, by zgruchotać swego przeciwnika. Pewna ręka i zimna krew oczekiwała tego ataku. Nastąpił dobrze skierowany strzał a ogromny zwierz wił się w przedśmiertnej agonii u nóg myśliwego.

Łowy przyniosły Mr. J. H. White'owi pokaźną sumkę, gdyż łeb wart jest 500, a skóra 100 dolarów.

Wypychacze zabrali zdobycz i wywindowali ją na prędko urządzone wzniesienia, przy których zaczęło się ich zwykłe zajęcie. Przez cały następny dzień w „Salt Lake City“ pograniczni mieszkańcy mieli w swem menu „buffalo steak“ i bawili się reminiscencyami.

Gdy w Yellowstone parku są łowy na grubą zwierzynę poniekąd wzbronione, to wyspa antylopia jest jedynem miejscem, gdzie amerykańskiego bawoła ubija się dla sportu.

Mr. John H. White jednak strzeże swej zwierzyny, prawie tak troskliwie, jak wuj Sam.

Prezydent Roosevelt należy do nielicznej garstki wybranych, którzy otrzymują zaproszenie na łowy bawole na antylopiej wyspie.

Po rykowisku.

Minęła już gorączka myśliwska ostatnich dni września, niebotyczne góry powoli cisza zalega, umilkły potężne basy „kapitalnych“ i już tylko niedoświadczona młodzież jelenia ostatki weselnego hymnu dospiewuje.

Po emocyach i wrażeniach, przebytych na rykowisku, myśl powoli wraca do równowagi i porządkuje i pieści niezatarte, z gór wyniesione wspomnienia.

Moje osobiste wspomnienia, o ile o dodatnie rezultaty chodzi, nie są zbyt bogate, bo przywiozłem ze sobą jedną tylko parę, prawdziwie górskich wieńców; opis polowania samego pozostawiam zatem licznym braciom w św. Hubercie, wymowniejszym odemnie i szczęśliwszym. Chciałbym dziś jednak podzielić się z czytelnikami „Łowca“ pewnemi refleksyami, które mi kilkudniowy pobyt w górach nasunął.

Dla ogółu myśliwych jest rykowisko jedyną sposobnością spotkania się z ginącymi już gatunkami wysokiej zwierzyny, z niedźwiedziem, rysiem i wilkiem a choć sama myśl spotkania się z jeleniem ma w sobie tyle uroku i tak pociąga i wabi, że dość tej myśli samej, aby z bijącem sercem spieszyć w góry — to jednak urok ten potężnieje wobec możliwości rzadkiego co prawda spotkania z tak groźnymi a nieznanymi już równinom rabusiami, jak niedźwiedź, ryś i wilk.

Dwaj ostatni słusznie choć bezskutecznie skazani na zagładę i sądzę, że wobec szkód, jakie ryś i wilk zrządzają w zwierzostanach, zwłaszcza jeleni i sarn, a nadto wilk w pasących się na połoninach trzodach, nie odezwie się za nimi ani słówko instancyi i niech giną dalej, choć giną śmiercią nie piękną, bo przeważnie od strychniny.

Boję się ściągnąć burzę na moją głowę, ale mimo to pozwolę sobie zapytać, dlaczego ten sam wstrętny proceder trucia stosowany jest także do niedźwiedzia.

Jestto dziś już rzadki mieszkaniec najgłębszych gór naszych a tak zdziesiątkowany, że wkrótce będzie zdaje się należał nawet i w górach do minionej przeszłości. Jeżeli zatem o szkodliwości niedźwiedzia może być mowa, to oceniać go należy według warunków, wśród których wyłącznie żyje a więc należy się zapytać, czy niedźwiedź w górach jest szkodliwy. Sądzę, że nie.

Historya naturalna i praktyka uczą, że jestto przedewszystkiem wegietaryanin, nie mający przez większą część swego życia najmniejszego do mięsa pociągu. Stare niedźwiedzie, zakosztowawszy raz mięsa, stają się bezwarunkowo szkodliwe i te naturalnie tępione być powinny.

Młodsze niedźwiedzie próbują polowania na barany lub jelenie tylko przymuszone głodem, gdy zabraknie pożywienia roślinnego, a połoniny i zręby śniegiem są przykryte. Wtenczas jednak nie ma także w górach owiec ani bydła, więc i szkody mogą być tylko przypadkowe.

Najcięższe czasy zimowe, w których niezgrabny miś i tak z trudnością mógłby coś upolować, przesypia w gawrze, a więc i wtedy szkody nie robi. Tak tedy można nie bez racyi zakwestyonować nieubłagany wyrok śmierci na niedźwiedzia wydany, a choć o jego pożyteczności nie wiele możnaby powiedzieć, to niemniej usprawiedliwioną wydaje mi się instancya za niedźwiedziem ze strony myśliwego, który nie może oswoić się z myślą, że nie będzie mu danem spotkać się oko w oko z tak potężnym przeciwnikiem. Nie mam naturalnie na myśli zupełnej ochrony niedźwiedzia, ale wydaje mi się, że pewne ograniczenia w jego tępieniu byłyby przecie na miejscu.

Znany mi jest system, praktykowany w jednym z największych rewirów karpackich; i tak służbie lasowej nie wolno strzelać niedźwiedzi a nikomu strzelać piastunów lub niedźwiedzicy, prowadzącej młode.

Do Bożego Narodzenia, to jest czasu, w którym niedźwiedź niewątpliwie spi już w gawrze, nie truje się wilków ani rysiów, a w marcu pali się wszystkie zatrute a dla wilków porzucone padła.

Rezultat jest widoczny, bo w ciągu pięciodniowego pobytu spotkałem trzy razy świeże tropy niedźwiedzi, mój najbliższy sąsiad ze sąsiedniej góry miał w kolibie wizytę niedźwiedzia, która porządnego strachu nabawiła rąbiącego drzewo chłopa, a polujący w tymsamym rewirze hr. S. podziwiał przez dłuższy czas zajadającego ożyny niedźwiedzia. Oddalenie i zapadający zmierzch nie pozwoliły mu przyjść do strzału.

Może mój niepowołany i nieśmiały głos instancyi za niedźwiedziem znajdzie nieco oddźwięku, a w rezultacie może niejeden z uczestników przyszłych rykowisk będzie mógł zapisać spotkanie z niedźwiedziem.

Miałem sposobność przekonać się naocznie o bezczelnej drapieżności wilka. Mimo żelazek i strychniny, stosowanych pilnie w odniesieniu do wilków, nie było dnia w ciągu mojego pobytu w górach, abym nie spotkał świeżych tropów wilczych. 23. września o 3-ciej po południu byłem na zrębie, na którym poprzedniego wieczora i rana ryczało parę jeleni. Po drodze spotkałem całkiem świeże tropy dwóch wilków, na co zresztą nie zwracałem zbytniej uwagi.

Do godziny piątej żaden jeleń się nie odezwał, zacząłem się więc posuwać z dobrym wiatrem ścieżką jelenią środkiem zrębu. Po drodze widziałem dwukrotnie łanie, których ja spłoszyć nie mogłem, a które dziwny zdradzały niepokój. Naraz o jakie 200 kroków przed sobą spostrzegłem pomykające w pełnym biegu cielę, przystanęliśmy obaj z pobereźnikiem, bo i jemu wydał się dziwnym ten ogólny niepokój jeleni — wtem spostrzegliśmy pędzącego za cielęciem tym samym tropem ogromnego wilka. Złomy i wysokie maliny odsłaniały mi go tylko chwilami, dopiero więc na jakie 400 kroków mogłem strzelić, niestety bez rezultatu, kula jednak musiała mu gwizdnąć blisko głowy, bo skoczył jak oparzony w bok i znikł nam z oczu.

Poszukiwania nie odniosły żadnego skutku, musiałem więc chybić, ale miałem przynajmniej to przyjemne uczucie, żem rabusiowi popsuł polowanie, a biedne cielę choć na ten raz od śmierci wybawił. *W. S.*

Korespondencye.

Szanowna Redakcyo!

Na terytoryum miasteczka Gołogór wynająłem polowanie i w dniu 28. czerwca b. r. syn mój Wiktor wraz z p. Jasińskim, będąc na stawie, spostrzegli bociana, polującego na swoją rękę na młodziutkie kaczki, a nie mogąc scierpieć uganiania tegoż za pisklętami, strzelili i ubili go. Postenführer żandarmeryi p. Riedl, dowiedziawszy się o tem, wniósł skargę do c. k. starostwa w Złoczowie. Ustawa łowiecka nie mówi wyraźnie, czy bocian należy do szkodników, czy do pożytecznych ptaków — gdyby nie „Łowiec“, w którego sprawozdaniach jest bocian zaliczony do szkodników, może być, że c. k. starostwo byłoby i zasądziło strzelających. Należałoby sprawę tę poruszyć i jasno postawić, do jakich ptaków bociana należy zaliczyć. Zechce Szanowna Redakcya poruszyć tę sprawę gdzie należy, by w przyszłości nie spotykać się ze skargami.

Z poważaniem
Dzięciołowski Tadeusz
delegat złoczowski.

Szanowna Redakcyo!

W odpowiedzi na szanowny list z 27. września mam zaszczyt odpowiedzieć w sprawie, poruszonej przez delegata p. Tadeusza Dzięciołowskiego, co następuje:

Ustawowe normy, określające gatunki zwierząt i ptaków jako ł o w n y c h (§. 2 ustawy łowieckiej), jak niemniej przepisy ustawy z 21. grudnia 1874 o ochronie niektórych zwierząt i ptaków d l a u p r a w y z i e m i p o ż y t e c z n y c h, są bezwarunkowo nie zupełne i nie ma w nich wzmianki o wielu gatunkach zwierząt i ptaków, które w ten sposób pod żaden przepis dodatni lub ujemny podciągnąć się nie dają.

Do takich należy bocian, a taksamo wszystkie gatunki czapli. Polityczna władza powiatowa, mająca czuwać nad wykonaniem ustawy, nie ma prawa do ingerencyi z powodu zabicia bociana, gdyż bocian nie jest wymieniony w spisie jako ptak „użyteczny dla uprawy ziemi“, a temsamem choć nie jest wyraźnie, jako ptak szkodliwy wskazany, nie może być w pojęciu ustawy za nietykalnego uważany.

Tam, gdzie nie ma zakazu, nie może być mowy o przekroczeniu ustawy, a temsamem karanie jest niedopuszczalne.

Według §. 1-go względnie §. 2-go ustawy wolno uprawnionemu do polowania zabijać ł o w n ą zwierzynę i d z i k i e ptactwo. W §. 2-im jako łowna zwierzyna wymienione są zwierzęta i ptaki, jako łowne uznane. Nie ma tam jednak wymienionego „dzikiego ptactwa“ w ogólnem tego słowa rozumieniu, a stąd wynika, że uprawnionemu do polowania wolno zabijać w s z y s t k i e d z i k i e p t a k i, choć nie są zwierzyną łowną, byle nie były dla uprawy roli pożyteczne (według ustawy). Wymienię przykładowo mnóstwo takiej zwierzyny: a więc bocian, czapla, wrona, gawron, wróbel i setki innych. Kwestya zabijania bociana nie wymaga ustawowego uregulowania. Jest dzikim ptakiem, nie jest uznanym ustawowo za pożytecznego, a wobec tego pozostawionem jest indywidualnemu uznaniu, czy ktoś bociana taksamo jak wrony chce lub nie chce strzelać.

Z wyrazami poważania
Dr. W. Sołowij.

Jawornik, 26. września 1904.

Donoszę Szanownej Redakcyi, że w dniu 24. września 1904 spotkałem przepiórkę na szczycie połoniny „Raduł“ szczyt „Stóg“ 1655 mtr. nad p. m. (okolica Żabie — granica węgierska).

Z poważaniem
Julian Kaczanowski
c. k. leśniczy.

Nagorzany, dnia 28. września 1904.

Bardzo przyjemnie czyta się korespondencye w „Łowcu“, są tu bowiem rozprawki pouczające, z czego niejeden młody myśliwy może wynieść wiele pożytecznych korzyści. Dlatego każdy otrzymany numer „Łowca“, sprawia mi zadowolenie i gdy tylko mam czas wolny, odczytuję rozprawki z przyjemnością. Otóż przeczytawszy w Nr. 7. z dnia 1. kwietnia 1904 artykuł pana Alberta Mniszka „Proch bezdymny w broni śrótowej“ pozycyi 9 o müllerycie, który ma być najlepszym belgijskim fabrykatem, mającym zastosowanie w całym świecie i jest używany do polowania w kniei w zimie, jako obojętny na wpływy atmosferyczne, chcę tu opisać fakt, który się wydarzył 28. listopada 1903 r. w kniei Nagorzany, gdzie urządzało polowanie Szanowne Towarzystwo im. św. Huberta ze Lwowa, a w którem miałem zaszczyt brać udział. Otóż przed Panem R. stojącym na stanowisku, o kilka kroków, siadł lis i niedowierzająco przyglądać się począł myśliwemu. P. R., któremu brakowało właśnie jednej skórki lisiej, pomyślał, chyba teraz, mam cię, ty lisiuro, nie ujdziesz bezkarnie, zmierzył się i paf. O, dziwo! strzał był, jakby w ręce klasnął, a lis widząc, że ten pan ma złe zamiary względem niego, odrzucił kitę w bok i wrócił na nagonkę, uważając strzał za nieszkodliwy dla swego futra. Pan R. tak był zdziwiony tem, co się stało, że zapomniał poprawić, choćby się i to było na nic nie zdało, gdyż w drugiej lufie miał również patron, ładowany müllerytem. Opuścił strzelbę w dół, a tu śrót z lufki wysypał się na ziemię, łamie strzelbę i patrzy, ale nic nie widzi, gdyż w lufie została przybitka, którą był mülleryt przybity, a tylko pierwsza przybitka wypadła, po spuszczeniu strzelby zaś, śrót się wysypał.

Patrony te dwa z müllerytem, wziął na próbę z magazynu broni p. Pieleckiego we Lwowie, przeto musiały być z wszelką dokładnością zrobione. Dlaczego patron w taki sposób wypalił, to wobec tego co czytam w „Łowcu“, w artykule Pana Alberta Mniszka, jest dla mnie zagadką, gdyż ma on być obojętny na wpływy atmosferyczne i najlepszy. *Jan Tesznar.*

Lwów, dnia 1. października 1903.

Szanowna Redakcyo!

Jakkolwiek nie jestem członkiem Towarzystwa łowieckiego ani abonentem Łowca, jednakowoż dzięki uprzejmości pana Juliana Golczewskiego dostaję z drugiej ręki organ Towarzystwa i czytam go nader pilnie.

W jednym z tegorocznych numerów czytałem o skąpem zasilaniu tego pisma wiadomościami.

Jeżeli więc szanownej Redakcyi będzie to na rękę — spieszę podzielić się wrażeniami z polowania na ptaszki.

Ostatniego dnia września polowałem „na zaproszonego“ na terenie gminy Wulka-Hamulec koło Grzybowic, dzierżawiony przez p. Józefa Kostkiewicza.

Dzień był pogodny i ciepły jak w czerwcu, kszyki dosiadywały znakomicie.

W dwie strzelby z jednym psem zabiliśmy 18 sztuk a to: 9 kszyków, 6 chróścieli, 1 ficklausa i 2 kurki — które to ostatnie w bałamuceniu psa — przeszły chróściele.

Jak na teren tak bliski Lwowa i stosunki miejscowe — wynik znakomity.

Kłusownicy bowiem polują tu razem z właścicielami polowania — jak to właśnie w ten dzień miało miejsce.

Polowaliśmy na błotach, a na sąsiednim stawie do p. Kostkiewicza należącym, strzelał równocześnie kaczki tamtejszy młynarz, czy właściciel „obszaru dworskiego — bez prawa polowania“.

Cóż z tego że u nas są piękne ustawy — skoro nikt się nie troszczy o to — aby one były wykonywane.

O godzinie siódmej wieczorem byliśmy z powrotem we Lwowie — a dalszy ciąg polowania śnił mi się w nocy. Troczyłem jeszcze niezliczoną moc kszyków, dubeltów, ficklausów, chróścieli, przepiórek, kuropatw i kurek na to, ażeby przebudziwszy się zobaczyć puste troki nad łóżkiem wiszące, zabite bowiem ptaki, którymi mię szanowny właściciel obdarzył — pospacerowały już przeddzień wieczorem do spiżarni mojej pani, żony i gospodyni.

Przepraszam, że może Szanowną Redakcyę znudziłem i przesyłam jako niezabobonny, myśliwskie „Szczęść Boże“.

Maryan Ostkiewicz.

NOWE KSIĄŻKI.

Rudolf Weber: Żelaza i pułapki myśliwskie. Tłum. z niemieckiego przez Jana Kraszewskiego. Warszawa 1902. Nakładem redakcyi „Łowca polskiego“.

Dziełko jedyne w swoim rodzaju i niezbędne dla dbałych o swoje rewiry myśliwych. Autor Rudolf Weber jest wynalazcą a zarazem fabrykantem żelaz i pułapek na najrozmaitsze szkodniki. Jego fabryka znajduje się w Haynau na Śląsku, a wyroby z niej pochodzące zyskały dawno już rozgłos światowy.

Tłumacz tego dziełka zasłużył się swoją pracą około dobra myśliwstwa a wykonał ją poprawnie i zgrabnie, unikając mnóstwa niepotrzebnych frazesów, będących w oryginale a służących tylko za reklamę dla fabryki. Dziełko to dzieli się na kilka części.

Część I. traktuje o wyborze miejsc, przeznaczonych na zakładanie żelaz i pułapek. A więc o zakładaniu ich na otwartem polu, na wodzie i w lesie.

Część II. podaje nam nader ciekawe sposoby chwytania w żelaza niedźwiedzi, wilków, rysiów, żbików, lisów, borsuków, wyder, kun, tchórzów i łasic. Szczególnie lisom poświęcił tu autor wiele czasu i ta część odkrywa nam wiele sposobów prostych i łatwych do niszczenia tego najpospolitszego szkodnika naszych rewirów myśliwskich. I tak powiada autor: Lisy chwytać można w polu żelazem talerzykowem lub obręczowem, w jesieni tem pierwszem, w zimie na mrozie, tem drugiem. W inny sposób chwyta się lisa na przynętę, inaczej na padliny, inaczej w polu, w bróździe, inaczej w wodzie. Chwytać go dalej można przy jamie, zapomocą sidła lub zabijać zapomocą samostrzału. Lis jest ogromnie ostrożnym i chytrym i tępić go nie łatwo; trzeba wiedzieć, kiedy jakiego rodzaju pułapki nań użyć. Wszystkie sposoby, podawane tu przez autora, są tak przekonywująco dobre, że użyte wprawną ręką udać się muszą, a jako takie przyczynić się powinny do wytępienia tego wielkiego szkodnika i wyrugować używanie drogiej a zawsze bardzo niebezpiecznej strychniny.

Część III. traktuje o sposobach chwytania ptaków drapieżnych a więc orłów, sokołów, jastrzębi, kań i myszołowów, dalej ptaków krukowatych i czapli

W końcu podaje dziełko nader ciekawe, łatwo dające się użyć sposoby chwytania w żelaza lub samostrzały psów i kotów-włóczęgów, jak również sposób chwytania królików i dzików.

Na końcu dziełka umieszczone są dwie duże tablice z rysunkami bardzo dokładnymi wszystkich żelaz, pułapek i samostrzałów, o których w dziełku jest mowa. Autor zaznacza, że wszystkie te sposoby są tanie i mogą być bez znaczniejszych kosztów u niego nabywane.

Ciekawe to dziełko polecamy gorąco uwadze naszych myśliwych i właścicieli myśliwskich rewirów. *A. M.*

KRONIKA.

Wabik na rogacza. Nadzwyczajne usługi oddał myśliwym podczas tegorocznej rui sarn nowo wynaleziony wabik pneumatyczny przez Antoniego Buttolo w Regensburgu. Jestto przyrząd za pomocą którego można idealnie dobrze naśladować głos prześladowanej miłością siuty, jak i głos, jaki wydaje sarna podczas trwogi — a na który podczas rui chętnie rogacze idą. Myśliwi, którzy się tym wabikiem posługiwali, nadzwyczajnie go chwalą i twierdzą, że niema rogacza, któryby się nie dał tym przyrządem oszukać, tembardziej, że nie potrzeba posiadać w tym wypadku żadnej umiejętności wabienia. Leśniczy W. podaje, że zapomocą tego wabika w jednym dniu ściągnął do siebie na odległość wygodnego śrótowego strzału 45 sarn, w którejto liczbie 8 kapitalnych rogaczy się znajdowało. Do wiadomości miłośników tego zajmującego sposobu polowania podajemy, że ten wabik Buttolego bardzo się już rozpowszechnił. Kosztuje u wynalazcy (Regensburg, Bawarya) 12 koron, a zapewne przed czasem przyszłorocznej rui i w naszych magazynach myśliwskich do nabycia będzie.

Kwestya rui sarn jest ciągle jeszcze przedmiotem badań uczonych. Niemiecki embriolog Dr. Leidhold, po bardzo dokładnie przeprowadzonych badaniach oświadcza, że w kozie zabitej w początkach grudnia znalazł już dobrze rozwinięte „jajo“ które bez kwestyi z rui letniej pochodzić musiało. Dalej na mocy swych badań twierdzi ten uczony, że części płciowe u kozy są tak urządzone, że „jajo“ długą drogę odbywać musi, nim się do macicy dostanie, a druga ruja listopadowa (jak ją Niemcy dzisiaj nazywają „die Nachbrunst“), tłómaczy się tem, że organa rodne u kozy potrzebują ponownego podrażnienia, które wprowadza „jajo“ na właściwe miejsce i daje początek kształceniu się embrionu. Jeżeli twierdzenie to jest prawdziwem, zostanie już raz stanowczo rozwiązaną kwestya dwóch rui sarn i czas ich ciąży. Czytelników naszych odsyłamy do Nr. 21. (Tom 43) z b. r. Deutsche J. Zeitung, w którym całe badanie, jak i jego wynik są dokładnie i po lekarsku fachowo opisane.

Orzeł rażony piorunem. W jednym z rewirów leśnych Meklemburskich, piszą do W. u. H., żyje dużo orłów bielików (Birkut bielik, Haliaetus albicilla), które są tam przed zakusami myśliwych prawem bronione. 2 lipca b. r. nadciągnęła koło południa silna burza. Nad jeziorem, na starej sośnie siedział właśnie orzeł. Wtem błysło, i uderzył piorun, rozpłatał drzewo na dwoje przez całą jego długość, a dumny król przestworza runął martwy na ziemię.

Drobne ogłoszenia.

Wszelkie najnowsze systemy!

STÓR i ŻALUZYI

do okien

poleca najstarsza krajowa fabryka firmy

W. ADAMSKI (dawniej Jürgens)

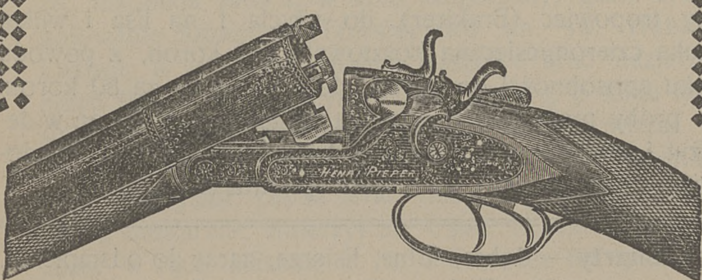
Story stare i żaluzye przyjmuje się do przerobienia. Cenniki ilustrowane gratis i opłatnie.

Lwów, Sobieskiego l. 4.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



→ Główny magazyn i fabryka ←

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylówki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety, floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

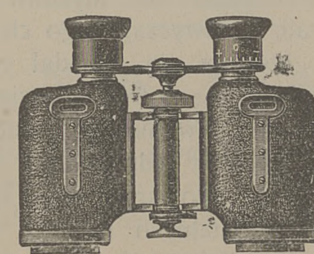
po cenach najtańszych.

K. Zieliński

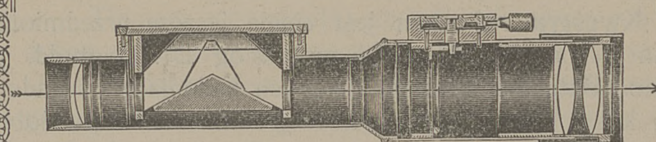
optyk i mechanik

Kraków A. B. l. 39.

Poleca P. T. myśliwym najnowsze binokle



pryzmatyczne o jednej „Penta-Pryzmie“ przewyższające swemi znakomitemi zaletami, t. j. nie osiągniętą przez **żadne** inne siłą światła i dużem polu widzenia, wszelkie inne tym podobne wyroby.



Cała długość 20 cm.

Na szczególną uwagę zasługują lunety do broni kulowej, jedyna konstrukcya jaka temu celowi wszechstronnie odpowiada.

Cena kor. 130·—.

Prospekt na żądanie odwrotnie.

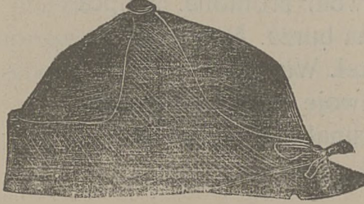
Kapelusze, Czapki, Buty i Berlacze do polowania

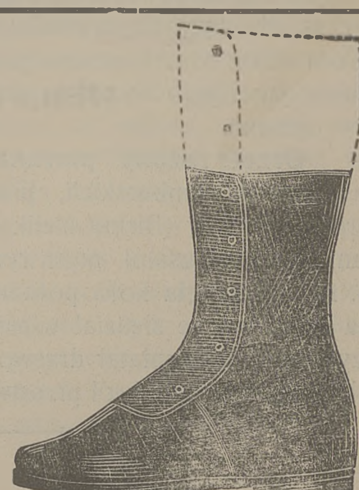
poleca **Kalosze petersburgskie** poleca

KAZIMIERZ BIELCZYK

Lwów, Halicka 21.







Cennik illustrowany na żądanie opłatnie.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**